

## **Dokąd maszeruje prawica?**

Wraca tęsknota za afirmatywną metapolityką, która serio traktuje republikańskie wezwanie.



**Wraca tęsknota za afirmatywną metapolityką, która serio traktuje republikańskie wezwanie.**

Dokąd maszeruje prawica?

Na pierwszy rzut oka pozytywna odpowiedź pytanie „Czy iść na marsz?” dotyczące patriotycznych manifestacji 11 listopada, a potem 13 grudnia nie powinna budzić żadnych wątpliwości (spór organizatorów obu marszów zostawiam na boku). Konieczność publicznego, możliwie masowego podkreślenia szacunku dla niepodległości jest dziś oczywistsza niż kiedykolwiek. Czy trzeba tłumaczyć dlaczego? Bezwolny, pozbawiony podmiotowości rząd unoszą wezbrane prądy europejskiej polityki, intelektualiści odkurzają Różę Luksemburg, znaczna część wspólnoty zapadła w polityczną drzemkę, a media zajmują się albo klaką, albo kloaką, albo opowiadaniem dyrdymałów o suwerenności, która się wzmocni tylko wtedy, gdy się osłabi. W takich czasach naprawdę dobrze jest pokazać, że niepodległość i podmiotowość ma dla kogoś znaczenie. Podobnie z 13 grudnia. Zapomnieć? I co? Najpierw afektowane zachwyty leninowskim esprit, a potem kastety i pałki w kawiarni zaangażowanej młodzieży, która robi wrażenie, że naprawdę nic nie pamięta. A szkoda, bo rodziła się jeszcze w czasach, gdy urzędnicy lewicowej skądinąd dyktatury - nie stroniąc wcale od pomocy niemieckich towarzyszy - zabijali księży, łamali życiorysy i machali podobnymi pałkami na (jak to się plecie) tych samych ulicach - czasem nawet w to samo święto.

Do tego dochodzi kilka argumentów płynących z bezpośredniego kontekstu marszów. „Nie można dać się zastraszyć, ani niemieccy, ani rodzimi lewacy nie będą nam dyktować co mamy pamiętać i jak obchodzić nasze święto. To nie my robimy awanturę, ale oni. Jak raz ustąpimy, to zaraz się okaże, że zablokują inne rzeczy. Tak, oczywiście lepiej by było, żeby 11 listopada robił ktoś inny niż ONR, a 13 grudnia

niekoniecznie PiS – bo to powinno być ponadpartyjne i raczej centrowe, ale po co zaraz dzielić włos na czworo. Idą tysiące zwykłych ludzi, całe rodziny, żadna ekstrema - wcale nie tylko ONR i pisowcy. Zresztą czy ktoś inny kwapił się do organizacji marszu? A ci kibole? Po pierwsze nie wszyscy z nich to zaraz bandyci, po drugie czy nie było w tej grupie prowokatorów, po trzecie czy w ogóle można zagwarantować, że nie przyjdą żadne łobuzy? Niesprawność policji nie może skutkować ograniczaniem prawa do publicznego manifestowania poglądów. Nie można zgodzić się na jego ograniczenie, ani samemu się go wyrzekać”. Tyle argumenty. Zupełnie niezłe argumenty.

Po Marszu Niepodległości dyskusję zdominowały cztery sprawy: niemieckie bojówki, uliczne bójki, brutalność policji i problem manipulacji mediów – uderzającej wobec dużej skali i pokojowego charakteru głównego marszu. Ogólnie jednak – poza budzącą duży niepokój kwestią organizatorów - sprawa została uznana za bardzo znaczące wydarzenie (liczba osób) i sukces w batalii o pamięć aksjologiczną.

Co zatem nie gra? Skąd kłopot? Dlaczego mimo, iż zgadzam się z obowiązkiem aktywnego zaangażowania w dyskusję o pamięci i wspólnoty nie mam i nic przeciw publicznym demonstracjom, to w przeciwieństwie do większości konserwatywnych komentatorów mam wrażenie, że marsze prowadzą w niewłaściwą stronę? Więcej, uważam je za przedsięwzięcia chybione i w dużym stopniu przeciwnie skuteczne. I nie chodzi wcale tylko o ONR, choć tu problem widać bodaj najwyraźniej. Ale po kolei. O co chodziło organizatorom? Jeśli się nie mylę celem była afirmacja niepodległości. Jaki osiągnięto skutek?

Mam wrażenie, że zupełnie niechcący udało się to, o czym marzyli współcześni luksemburżycy. Jeszcze 10 listopada nikt poważny, nikt mieszczący się w głównym nurcie polskiego zdrowego rozsądku, publicznie nie kwestionował słuszności świętowania rocznicy odzyskania niepodległości. Od 11 jest już inaczej. Dzięki skwapliwie rozdmuchanej przez media lewacko-prawackiej drace obchodzenie święta niepodległości znalazło się w katalogu zachowań problematycznych. Coś co wcześniej nie było kontrowersyjne objawiło się jako przedmiot (rzekomo) wielkiego sporu. Oczywiście żadnego poważnego sporu nie było i nie ma, ale po ostatnich wydarzeniach powstaje taki klimat, że oto my wszyscy, po prostu my Polacy, stajemy wobec fundamentalnego wyboru. Musimy wybrać – bo sprawa jest poważna, a nawet groźna. W wymiarze pojęciowej konkwisty górą jest nowa lewica. Sklejki faszystowskiej niepodległości wchodzi do obiegu. U końca powstaje wrażenie, że to sama niepodległość jest przedmiotem narodowej debaty, w której z całą gwałtownością znoszą się jakieś równo rozłożone racje. Zgodnie z zasadami komunikacji (dobrze znanymi z zabawy w głuchy telefon) najpierw kwestionuje się „sposób obchodzenia rocznicy niepodległości”, potem już mówi się o „świętowaniu niepodległości”, a u końca powstaje wrażenie, że problematyczna stała się sama niepodległość. To abecadło. Ale uwaga! Już słyszę obrońców marszu: „To nie myśmy zaczęli, media były nieuczciwe itp.”. Wiem, ale powtarzam - mówię tu o efekcie. Wynik 1:0.

Drugi skutek. Oto postawa zupełnie marginalna – mam na myśli nowolewicowy ekstremizm - zostaje dowartościowana - i zyskuje na istotności jako realna alternatywa polityczna. Czy można bardziej zaszkodzić sprawie, której miało się pomóc? Wiem co usłyszę: to jest

manipulacja lewicy – cała ta zabawa z celebrytami, którzy byli przeciw brzydkiemu Marszowi Niepodległości, a za to popierali kulturę, ludzką dobroć, dobrą ludzkość i miłość do zwierząt – to śmieszne. Złapać się na to jest dowodem niezwyklej naiwności. Zgoda, to głupie. Niestety skuteczne. A czy rzeczywiście trzeba było pomagać ekstremie? A czym pomogliśmy? A czym jak nie ONRem – którego obecność legitymizuje nowolewicową zadymę – ukazując ją jako inicjatywę serio, jako postawę poważną i odpowiedzialną. A co mówią prawicowi obrońcy marszu: może z tym ONRem owszem, głupio wyszło, ale trzeba pamiętać, iż dzisiejszy ONR już nie jest ten sam, co kiedyś, lecz całkiem, naprawdę, całkiem inny, a zresztą to on od zawsze był demonizowany, ale nawet jeśli było coś na rzeczy – a przyznajmy, że było - to od złego młodzi się już odcięli i ani śladu nie ma po dawnych demonach. A jakie to ma znaczenie – pytam. I błagam, nie bądźmy dziećmi. Jeśli się odcięli to po co to uparte przywiązanie do starych nazw i starych rekwizytów? Nie można bez tego? Bo jeśli to tak dla nich ważne, to nie dziwcie się naszym reakcjom, naszej irytacji, sceptycyzmowi i niechęci. A jeszcze mniej dziwcie się lewicy i jej mediom (czy spodziewaliście, że tego nie wykorzysta?). A skutek tych zawiłych zabiegów? Prosty! Wrażenie, że postawa dotąd nieistotna wyrosła do rangi czegoś ważnego, jakiegoś równocennego, poważnego wyboru. Ba! jednego z dwóch zasadniczych. Radykalna lewicowość zostaje przesunięta do centrum. Wzmacnia się. Bravo! 2:0.

Z kolei postawa centrowa - skutek trzeci - zyskuje wizerunek (głównie dzięki aliansowi z ONRem) postawy skrajnej. To żadna nowość - media uwielbiają spektakl polegający na starciu wyrazistych, chętnie nawet karykaturalnie wyrazistych stron. Ale jednak nikt nie zmusza by w tym spektaklu występować. A wynik? To, co jeszcze przed marszem bezsporne i większościowe zostaje zredukowane do pozycji jednej spośród radykalnych opcji. Pięknie, prawda? To co – w intencjach -

miało być formą odważnej konkwisty kończy się utratą terytorium. Miała być afirmacja, jest erozja i strata. Miały być polskie Panatenaje – wielka procesja utwierdzająca znaczenie i świętość publicznych wartości, a zrobiło się kontrowersyjne, plemienne święto. Zamiast z samego centrum z ubolewaniem patrzeć jak na marginesach przepychają się ekstremiści i razem z większością wspólnoty politycznej obchodzić rocznicę Niepodległości, dołączyliśmy do marginesu i poszliśmy na starcie. Ja wiem, „media były tendencyjne i nie myśmy zaczęli”. Moje gratulacje! 3:0.

Oczywiście nie można przeceniać znaczenia jednej czy dwu imprez. Rysując grubą kreską chciałem pokazać pewien kierunek w którym mimowolnie idą zwolennicy tej formy celebrowania narodowych wartości. Sprawa nie była by pewnie godna aż takiej uwagi gdyby nie fakt, że widać tu jak na dłoni bardzo niepokojące tendencje, które ostatnio z rozmachem wkroczyły do centrowo-prawicowej metapolityki.

Jeszcze w latach 90tych w kręgach warszawskich konserwatystów dużo mówiono o konserwatyzmie afirmatywnym (termin Marka Cichockiego). W największym skrócie chodziło o przewyciężenie silnego wtedy na prawicy odruchu reaktywnego czy negatywnego – skoncentrowanego na zwalczaniu przeciwnika i uporczywej, obsesyjnej koncentracji na stałym komentowaniu cudzej agendy. Zamiast zająć się swoimi tematami i wprowadzać do debaty publicznej zagadnienia własne prawica żyła głównie cudzym życiem. Szło więc o przewyciężenie skłonności do prawicowej defensywy, chęci zamknięcia się w katakumbach i o propozycję śmiałego wzięcia odpowiedzialności za kształt wspólnego forum. Założenia konserwatyzmu afirmatywnego wzięły się z solidnych studiów nad rzymską, amerykańską i polską tradycją republikańską, jak i z krytyki

liberalnej, lewicowej i postmodernistycznej koncepcji polityczności. Pytaniem, które zadawali sobie konserwatywni republikanie brzmiało: czy w głęboko podzielonej Polsce można pracować nad rzeczą wspólną (*res publica*), a jeśli tak, to jak to robić. Za cel – mówiąc w wielkim skrócie - uważano by łączyć nie dzielić, szukać tego, co wspólne i oddziaływać na główny nurt debaty publicznej zamiast (realizując postmodernistyczny w istocie program) budować alternatywny świat, alternatywne wartości i alternatywny dialekt prawicowego marginesu. Były to ambicje duże i przyznać trzeba dość zabawne biorąc pod uwagę zarówno ówczesną liczebność tej grupy, środki jakimi rozporządzała, wrogość którą budziła (nie tylko na lewicy) i wreszcie ponury, niedyskursywny klimat oligarchii lat 90tych.

Tak się szczęśliwie złożyło, że podejście to legło u podstaw projektu Muzeum Powstania Warszawskiego i - w jakiejś części – współtworzyło klimat kulturowych zmian, które umożliwiły polityczne sukcesy prawicy w 2005 roku. Czy Muzeum nie mogło dzielić? Czy nie miało wrogów? A jakże. Kto pamięta klimat panujący przed powstaniem Muzeum wie, że wrogość wobec idei upamiętnienia Powstania jak i wobec samego projektu była ogromna. Mimo to Muzeum nie tylko nie osłabiło publicznego szacunku do drogich Powstańcom wartości, ale przeciwnie doprowadziło do sytuacji, że dawni wrogowie (szczerze czy nieszczerze) wspierali zarówno instytucję, jak i kolejne obchody rocznic Powstania – zapewniając przy tym, że od zawsze wprost tryskali przyjaźnią wobec patriotycznych tradycji 44 roku. Szczęśliwie zrealizowanym celem Muzeum było gromadzenie wspólnoty politycznej wokół danego przez Powstańców świadectwa wolności i wierności niepodległemu państwu. To nie był projekt nastawiony na wykluczenie, negację, czy stygmatyzację przeciwnika. To był akt wdzięczności i akt afirmacji tych, którzy za swój wybór zapłacili

najwyższą cenę. Może dlatego, również dlatego, pod dyrekcją Jana Ołdakowskiego, Muzeum stało się symbolem Warszawy (w zeszłym roku w badaniach wyprzedziło nawet Warszawską Starówkę!), może dlatego będąc centrum żarliwego patriotyzmu jest zarazem miejscem spotkań ludzi o rozmaitych poglądach i najżywszym dziś centrum kultury w stolicy. Może takie właśnie podejście sprawiło, że Muzeum okazało się jedynym w Warszawie miejscem gdzie udało się odsłonić tablicę ku czci ś.p. Lecha Kaczyńskiego (rzecz podobno niemożliwa), a w uroczystości obok kombatanatów udział wzięli Hanna Gronkiewicz-Walc i Jarosław Kaczyński (sic!). A jaki to ma związek z marszami? A taki, że dowodzi, iż praca nad nowoczesnym patriotyzmem jest – nawet w bardzo trudnych warunkach – możliwa, że może być wyrazista, ale zarazem inkluzywna i afirmatywna – a więc bardzo odmienna od obecnego dziś na prawicy ducha.

Drugi, ważniejszy powód odwoływania się do Muzeum w kontekście marszów jest bodaj poważniejszy. Jak wiadomo Muzeum nie powstałoby bez politycznej woli, determinacji i odwagi ówczesnego prezydenta Warszawy, ś.p. Lecha Kaczyńskiego – ale trzeba to mocno podkreślić - nie powstałoby gdyby nie świadomość, że Muzeum nie może być elementem partyjnej gry. Oczywiście nie byłoby to możliwe bez wielkoduszności pana Prezydenta, który uważał, że jest to sprawa przekraczająca horyzont aktualnych sporów – sprawa wspólna. To - niestety unikalne u polityków - podejście sprawiło, że to, co było w tym projekcie republikańskie nie padło ofiarą tego, co partyjne, że nie doszło do pomieszania polityki i metapolityki. Muzeum jest dowodem, że nawet polegając na sile polityki (bo skąd niby na naszym forum miałyby przyjść inna siła wspierająca tego typu przedsięwzięcia) można pracować nad budową tego, co łączy, a nie nad pogłębianiem podziałów. Temu założeniu wierny był tworzący Muzeum zespół (m.in.

Elżbieta Jakubiak, Lena Cichocka, Jan Ołdakowski, Paweł Kowal, Dariusz Gawin). Wątpię jednak, by dali radę gdyby na którymkolwiek etapie chcieli zrobić z Muzeum partyjną pałkę.

Trzeba powiedzieć, że taka właśnie postawa okazała się dla PiSu korzystna. Polacy zaufali tej afirmatywnej, republikańskiej wersji prawicowości – dając jej reprezentantom nie tylko zwycięstwo w wyborach prezydenckich, ale i znakomity wynik w wyborach parlamentarnych. Co ciekawe, jeśli wielki kulturowy i polityczny sukces prawicy uważać można – w jakimś stopniu - właśnie za wynik tego republikańskiego podejścia, to obecne jego porażki ściśle łączą się z powrotem do dawnego reaktywno-ekskluzywistycznego wzorca z lat 90tych. Jest to powrót do modelu, w którym wykluczanie, a nie siła przyciągania stanowi o zasadniczej dynamice prawicy. Z przyczyn trudnych do wyjaśnienia PiS z uporem niszczy dziś to, co w 2005 roku dało mu zwycięstwo. Czy dowodzi to, że liderzy nie zrozumieli źródeł własnego sukcesu jest samo w sobie bardzo ciekawym pytaniem.

Źródłem tych zmian jest oczywiście koszmar smoleńskiej tragedii i ciemna chmura znaków zapytania wisząca nad katastrofą i przebiegiem śledztwa. Wstrząsająca nieudolność rządu, wydarzenia poprzedzające, ale jeszcze bardziej te, które nastąpiły po katastrofie (oddanie śledztwa Rosjanom, niezdolność odzyskania dowodów rzeczowych, aprobata dla haniebnych oskarżeń i tyle innych) wielu z nas kazały zwątpić nie tylko w kompetencje i podmiotowość, ale i w dobrą wolę rządu. Trudno się dziwić, że tak wielu ludzi patrzyło wówczas na prawicową opozycję z nadzieją, że pomoże w wyjaśnieniu tej tragedii. Być może było to zadanie ponad ludzkie siły. Trudno jednak nie myśleć, że PiS trwoni ten

ogromny kapitał zaufania przez styl polityki, która okazuje się po prostu nieskuteczna. PiS stał się dziś funkcjonalnym koalicjantem Platformy - jego niestety wyłącznie retoryczny radykalizm wzmacnia rząd, stabilizuje fatalny dla Polski kształt sceny politycznej, a przyjęty styl działania z wyborów na wybory zmniejsza i izoluje polityczne zaplecze prawicy (czyniąc ją niejako mimo woli coraz bardziej antyrepublikańskim).

Wszystko to sprawia, że przestrzeganie granic między polityką a metapolityką – tak ważne dla Lecha Kaczyńskiego – nie zaprzęta dzisiejszych liderów prawicy. Klimat zimnej wojny domowej zwalnia z respektowania takich dystynkcji. Marsz 13 grudnia reklamowany był po prostu jako marsz pisowski, co stanowi – przyznać trzeba - ostentacyjną próbę zawłaszczenia wspólnej pamięci. Dotyczy to nie tylko PiSu. W obu marszach zasadniczym problem była obecna tam intencja upartyjnienia metapolityki. Kiedy organizatorem przedsięwzięcia patriotycznego (od *patria*) staje się partia (od *pars* - część), wtedy to, co wspólne ulega partykularyzacji. W dłuższej perspektywie skutkować to musi marginalizacją celebrowanej w ten sposób sprawy, która staje się totemem plemienia, a nie symbolem wspólnoty. Dlatego właśnie marsze mogą służyć za znak tego, co dzieje się dziś na prawicy. Czego mianowicie? Odwrotu od republikanizmu i organizowanej w klimacie wielkiego sukcesu przeprowadzki z centrum na margines.

Proces upartyjniania nie ominął i tych, którzy lubili podkreślać swoje przywiązanie do idei republikańskiej. Wielu z nich przyłączyło się do grona – jak mówi Mateusz Matyszkowicz – skoszarowanych intelektualistów i już bez zakłopotania zajmuje się partyjną robotą: pogłębia podziały, lojalizuje elektoraty, piętnuje zdrajców. Subtelność diagnozy, krytyka, dyskusja o strategii czy celach, a już przede

wszystkim samodzielność wobec lidera nie są mile widziane. Niektórzy – na szczęście nieliczni – uwierzyli nawet, że wróciły czasy młodości, mamy lata 80te, a oni stali się moralnymi autorytetami rozdającym koncesje na uczciwość i patriotyzm (Jak widzą swoją rolę? neoHennelowa, neoSzczypiorski, neoKozłowski?). Triumfy święci duch ekskluzywizmu – pytanie nie brzmi już „kto z nami?“, ale „kto zdradził?“, „kto przeciw niepodległości?“. W prawicowych dyskusjach odradza się dykcja z czasów katakumb: wraca typowa dla lat 90tych reaktywność (która stała się szczególnie groźna wobec wykorzystujących je świadomie graczy w rodzaju Palikota), wraca zatruwający siły żywotne negatywizm (prawicowe contemptus mundi), wraca hipermoralizm, wraca styl pełen przewidywalnych point, formuł i patosu, znika ciekawość świata i ostrość widzenia problemów. Nie mam najmniejszych wątpliwości co do szlachetności i szczerości uczuć większości smoleńskich konfederatów, ale duch partyjnej polityki robi w ich obozie swoje. Umiar nie jest w cenie – najświętsze zaklęcia i relikwie („drugi obieg”, „bojkot”, „Państwo Podziemne”, „niepodległość”, „kolaboracja”) – już bez zbędnych zastrzeżeń i cudzysłowów służą nie tylko – powiedzmy to – do niezbyt skromnej autodefinicji, czy budującej tożsamość retoryki, ale również do stygmatyzowania przeciwników lub (co gorsza) załatwiania partyjnych porachunków. Wraz z nasilającą się walką o monopol PiS w roli reprezentanta prawicowo-konserwatywnego elektoratu wzmaga się to ostatnie - szczególnie smutne zjawisko - mokra, partyjna robota wykonywana instrumentem moralno-patriotycznego oburzenia. Prawicowy dziennikarz, który występuje w TVN, albo TOK FM (a nie jest entuzjastą PiS, albo co gorsza ceni Ziobrę lub PjN!), to zdrajca i sprzedawczyk, który zresztą robi to wszystko z niskich pobudek („wiadomo, kredyty”). Do innych, jeśli nasi (*amici curiae*), już to się nie stosuje. Zmazy nie przyniesie nawet praca w „reżimowej” telewizji. Cóż, oni po prostu biorą to, co im się słusznie należy. Powiecie Państwo, że próba utożsamienia tego, co moralne, z tym co partyjnie

słuszne to absurd, że to najkrótsza droga do zamiany prawicy w sektę. Zajrzyjcie na życzliwe PiS portale. I co powiecie? Śmieszne? Smutne? Czy trzeba mówić, że taka prawicowość wykorzystując republikański język i patriotyczne symbole psuje metapolityczną substancję (której niestety nie reprodukuje)? Oczywiście, na krótką metę to się nawet opłaca. Wykorzystywanie metapolityki daje doraźny polityczny zysk – jest frekwencja, wyrazistość, temperatura i poparcie. Kosztem politycznego sukcesu jest niestety to, w imieniu czego walczono. Staraniem ONRu kontrowersyjna stała się idea świętowania niepodległości. PiS zajął się 13 grudnia. W kolejce czeka Wigilia, 15 sierpnia, 1 i 17 września itd. Pomysłów nie zabraknie.

Wraca tęsknota za afirmatywną metapolityką, która serio traktuje republikańskie wezwanie. Nie wierzę tym którzy twierdzą, że dziś jest ona niemożliwa, że jej warunkiem jest zgniły kompromis i zapomnienie o tragedii spod Smoleńska. Chyba najlepiej ducha takiego konserwatyizmu opisał Dariusz Gawin odwołując się do talentu Piłsudskiego, który zamiast do śmierci przypominać o samotności legionów i o trzasku zamykanych w Kielcach okiennic potrafił zapisać całą naszą pamięć do legionów. Co byłoby porównywalnym zadaniem na dziś? Definitywny podział na nas i tych od Tarasa? Ostateczne napiętnowanie zdrajców i wrogów niepodległości? Czy może praca nad tym, by za dwadzieścia lat cała wspólnota polityczna pamiętała siebie w wypełniającej Krakowskie Przedmieście kolejce do trumny pana Prezydenta. Kolejce w której stał naród, który przyszedł pokłonić się przed Majestatem Rzeczypospolitej. Zgadzam się z Gawinem – republikanin nie będzie miał wątpliwości co wybrać. Podobnie jak Państwo byłem wtedy na Krakowskim Przedmieściu. Podobnie jak Państwo stałem obok trumny pana Prezydenta i widziałem to na własne oczy. To może być fundament. Nie zgódźmy się żeby

przerobiono go na ściankę działową. Od tego, w którą stronę pójdziemy zależy czy się uda.

*Dariusz Karłowicz*

Rzeczpospolita, Plus Minus

*Copyright by PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część jak i całość utworów nie może być powielana i rozpowszechniania w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (w tym także elektroniczny lub mechaniczny lub inny albo na wszelkich polach eksploatacji) włącznie z kopiowaniem, szeroko pojętą digitalizacją, fotokopiowaniem lub kopiowaniem - bez pisemnej zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Jakiegokolwiek użycie lub wykorzystanie utworów w całości lub w części bez zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. lub autorów jest zabronione pod groźbą kary i może być ścigane prawnie.*